

Lubię chwasty wyrastające w szczelinach pomiędzy chodnikowymi płytami. Mlecze, perz i zwykłą trawę, są jak ukrzyżowany Chrystus. Jezus podwórkowy cierpiący za ludzkość w betonowej pułapce między śmietnikiem a trzepakiem. Przechodzę chodnikiem przy piaskownicy i zamiast patrzeć w niebo, przyglądam się tym wytrwałym istotom, cierpliwym i pokornym. - Tutaj jest nasze miejsce - mówią do mnie - Ty idź Wielki Człowieku, zdobywaj Świat, dokonuj wspaniałych czynów, a my zostaniemy tu, w tych szczelinach przy krawężniku. To nam wystarczy, tylko nas zostaw w spokoju. Uśmiecham się do nich i mówię:

- Siema, jak leci. A później jest mi przykro kiedy widzę, że ktoś je wyciął. W szczelinach czernieje ziemia odświeżona razami szpadla, a mnie coś ściska w gardle jakby mi ktoś zabił bliskich.

Lubię patrzeć na błoto w słońcu, to jest jak wysadzanie w powietrze mostów. No, może podobne trochę. Już jest ciepło i jasno ale po ukochanym deszczu zostało błoto przylutowane do jezdni, wcisnięte w dziury, zasychające przy krawężnikach i kratkach ściekowych. Błoto też mówi. - Jestem niegrzeczną dziewczyną i mogę cię pobrudzić. Nikt mnie nie lubi ale ja jestem tu i umieram w słońcu, które kochacie.

A śmietniki? Jak pięknie wychylają z nich smukłe szyjki butelki po piwie... Niczym spragnione żyrafy na zbyt małym wybiegu w ZOO. Otoczone wianuszkami plastikowych kubków od jogurtów i śmierdzącymi resztkami jedzenia wykrzykują swoje pośmiertne "O!" w niewzruszoną czasoprzestrzeń podwórka. W ich ponętnej gładkości odbija się światło latarni gdy zapadnie zmrok. Błyszczą jak morsy wylegające się na plaży w księżycową noc. Śmietniki to my, to jest odzwierciedlenie całego człowieczeństwa. Doskonale zwierciadło, które nie kłamie. Są tu nie przeczytane książki, zużyte prezerwatywy, sztuczne kwiaty, rozprute pluszowe misie, połamane układy scalone. Cała cywilizacja w śmietnikowej pigułce. Uwielbiam śmietniki prawie tak samo jak rampy sklepów przemysłowo - spożywczych. Rampa to jest miejsce magiczne, tutaj magia przyjmuje swoje najpiękniejsze postacie. Stosy drewnianych skrzynek i kartonów imitujące przytulność osiedlowego klubu. Stalowe okucia powycierane i błyszczące smutno w strategicznych miejscach są jak biżuteria starej panny, niemodna ale jakże ciepła. Wywołuje na twarzy ten nikły uśmieszek zrozumienia i aprobaty. Tylko kto się do tego przyzna? Rampa jest jak osoba, która się dwoi i troi w wirze codziennych zajęć, wdzięczy się i szaleje w tłumie "przyjaciół" z pracy. A w nocy wyje z bólu samotności, płacze betonowymi łzami i załamuje stalowe ręce. Magia i piękno zaplecza.

Zawsze bardziej podoba mi się bałagan oficyny niż dumny, odświeżony front, który nie ma duszy.

Lubię wydeptane, zaciszne miejsca na tyłach sklepików. W łysą i twardą ziemię wklejone są tam dziesiątki błyszczących kapsli od piwa, a setki pomarańczowych spłaszczonych filtrów papierosów mrugają przyjaźnie jak figlarne skrzaty. Powietrze nasiąknięte jest sokiem słów, które płynęły tu z tyłu ust wilgotnych od piwa, jest gobelinem znaczeń, mądrości i bzdur poprzątanym gęsto "kurwami". Można się w takie miejsce wtulić jak w futro w mroźny dzień, założyć kaptur spokoju na skołowaciałą głowę i obserwować sobie ukradkiem świat obracając w palcach kapsel od butelki portera. Dużo można zobaczyć. Faceta w czapce, który smarka z rozmachem przyciskając kciukiem jedną stronę nosa, brązowego ptaszka huśtającego się na gałązce nędznego krzaka przy plastikowym pojemniku na śmieci albo niezgrabny stos omszałych cegieł oblepionych resztkami spękanej zaprawy. Na jednej z nich zamarł w bezruchu połyskujący zielonkawo chrząszcz.

- Siemanko - mówię do niego - jak leci?

Chrząszcze są piękne, wszystkie bez wyjątku, te malutkie jednobarwne i okazałe, rogate, mieniające się wieloma barwami. Piękno, które można spotkać dosłownie wszędzie. Po co się tarabanić tysiące kilometrów w poszukiwaniu pięknych widoków i wrażeń? Wystarczy znaleźć sobie chrząszcza na cegle za sklepikiem i obserwować go pijąc piwo.

Ale nie koi mojej duszy tak, jak ogrody działkowe. Po prostu działki. I nie mam tu na myśli grilla ze znajomymi na zielonej przyszyżonej trawce. Mój wzrok odpoczywa rejestrując kurniko- pałace

sklecone z wszelakiej maści materiałów i fantazją architektoniczną zadziwiające mnie za każdym razem ponownie. Na swój pokrętny sposób dumne siedziby cholera wie kogo, na oko to chyba szuwarowych dziadków albo mafiosów z żaholeckiego lasu. Budowle te rozczulają mnie swobodą i dowolnością rozwiązań technicznych, żeby nie powiedzieć wprost: architektoniczną rozwiązłością. Tutaj nie ma nic do gadania poziomica, kątomierz czy inna taśma miernicza. Przecudne skosy i przechyły, niebanalne połączenia falistej blachy z płytą paździerzową i obowiązkowe okna znalezione na śmietniku. Tylko na działkach można zobaczyć zmaterializowane domki z dziecięcych rysunków, skonstruowane tak beztrasko i zamasyście jak lekko i frywolnie sunie kredka w dłoni przedszkolaka. Do tego jeszcze rozbrajające szczerością muchomorki, kwiatki i słoneczka namalowane dla ozdoby olejną farbą. Chrząszcz jest doskonały w swojej budowie i symetrii. Jego chitynowy pancerz lśni tajemniczo i spokojnie, dlatego jest piękny. Piękno kurniko- pałaców kryje się w braku symetrii, w łuszczącej się, zmatowiałej farbie i niewzruszonej naiwności. Świat gna przed siebie w zawrotnym tempie i produkuje koszarne ilości wzorców, form, standardów i zasad. Na działkach, jeśli potrafi się patrzeć, można uciec od tego i na chwilę zapomnieć, że coś tam trzeba. Tu każdy jest sobie księciem, królem albo kacykiem na swojej działce. Księstwa i państewka bywają różne. Najbardziej lubię te z kurniko- pałacami. Oprócz siedziby władcy najczęściej znajduje się tam "palmiarnia" wykonana z szyb i z "czego dusza zapagnie". Obowiązkowo są też drzewa owocowe, powykręcane i zdziczałe trochę ale owoce ich są słodkie i soczyste. Obrazu sielanki dopełniają kępy trawy i pokrzyw, jakieś klatki dla królików albo coś w tym stylu i, najważniejsze, magazyn "potrzebnych rzeczy", takich co mogą się przydać. Zdarza się czasami gipsowy krasnal (ale zawsze z odłamanym nosem) albo wanna wypełniona deszczówką, diabli wiedzą po co. Przechodzę obok takiego państewka i uśmiecham się, chłonę jego ciepło i dobrą energię. Mówię: - Siema, jak leci?

Czasami wskoczę do środka przez chylący się płotek i poczęstuję się przejrzałym, zmrożonym winogronem, o którym zapomnieli wszyscy ludzie świata. Podobają mi się też zgrzebne i bezpretensjonalne państewka, które nazywam "działką zadbanej pani". Raz widziałem na takiej działce kobietę po pięćdziesiątce w kraciastej flanelowej koszuli, z nie farbowanymi włosami schludnie i prosto spiętymi w kucyk. Wydała mi się miła i zadowolona z życia. Zapamiętałem ją i jej działkę, dlatego wszystkie podobne nazywam właśnie tak. Nie miała w swoim królestwie żadnych warzyw i nie zasiała kwiatów. Tylko kilka owocowych drzew i trawa usiana żółtymi kropkami mleczu i różowo- białymi stokrotkami. To była normalna trawa, taka zwykła i fajna a nie murawa z boiska piłkarskiego strzyżona przez maniaków trzy razy w tygodniu. Drzewka rzucały przyjemny migoczący cień i uśmiechały się rumianymi jabłkami. Do tego jeszcze skromna błękitna altanka i to wszystko. Żadnych porzeczek, malin, krasnali, wiatraków, oczek wodnych i murowanych grillów. Prostota i piękno. Chrząszcz.

Po alejkach ogrodów działkowych można sobie wędrować godzinami jak po labiryncie ludzkich charakterów. Wybuchają tu wulkany tandetnego przepychu, bulgoczą ciepłe gejzery spokoju i biją czyste źródła naiwności. Można tu przyjść i rozkoszować się tym światem piernikowych chat za darmo, nikt nie sprzedaje tu biletów. Naprawdę! Jedyne bilety jakie może się tu przydać to bilety na autobus komunikacji miejskiej. Nie jest konieczny ale ja lubię jeździć autobusami.

Kasuję sobie bilet i mogę się wybrać w podróż dookoła przyziemności i w poprzek czasu. Zerkam na dłonie kierowcy, który zarabia tysiąc siedemset na miesiąc i podziwiam majestatyczność ich ruchów i posłuszeństwo w jakim trzymają tego syczącego wieloryba. Suniemy skrzypiąc i dzwoniąc szlakiem wysepek, na których wyczekują Jonasze gotowi dać się pożreć i towarzyszyć mi w brzuchu walenia oklejonego reklamami. Waleń karmi nas ciepłem swoich trzewi i bladym światłem, które sprawia, że czuję się niewidzialny. Przytulam się do gładkiej szyby w dyskretnym ceratowym kąciaku i jak ukryta kamera rejestruję bezczelnie intymne czynności ludzi: smarkanie w chusteczkę higieniczną, szeptanie do ucha, smarowanie ust błyszczkiem albo mazanie palcem po zaparowanym szkłe. I to jest piękne. Po co mi skoki na bangi albo rollercoaster do podniesienia poziomu adrenaliny? Co może się równać z tym

podnieceniem i ekscytacją, która towarzyszy syczeniu otwieranych na przystanku drzwi autobusu? Kto się w nich teraz pojawi? Chroboczący kulami kombatant, szumiąca futrem fryga czy filcowa babuleńka oślepiająca cudownością wypchanej reklamówki z Netto. Kasownik ochoczo nadgryza ich bilety mówiąc "sztump!" i mrugając na mnie czerwonym okiem jak iskierka z popielnika. Mam ochotę przyłożyć do niego ucho o posłuchać tej bajki, jaką ma mi do opowiedzenia.

A on powiedziałby: - Lubię chwasty wyrastające w szczelinach pomiędzy chodnikowymi płytami. Mlecze, perz i zwykłą trawę, są jak ukrzyżowany Chrystus...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

andro, dodano 01.12.2008 12:21

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.